

ON



Ujrzałem go pewnej bezsennej nocy, kiedy krążyłem rozpaczliwie ulicami, usiłując uchronić mą duszę i wizję. Przyjazd do Nowego Jorku okazał się pomyłką - poszukiwałem bowiem cudów, uroku i inspiracji, które miałem nadzieję znaleźć wśród labiryntu starych uliczek wijących się bez końca od zapomnianych podwórców, placów i nabrzeży po równie zapomniane podwórza, place i nabrzeża w cyklopowych, nowoczesnych wieżowcach i pinaklach wznoszących się niczym czarne wieże Babilonu pod bladym sierpem księżyca. Odnalazłem zaś jedynie grozę i uczucie osobliwego nacisku, które groziły mi zdominowaniem, sparaliżowaniem i absolutnym unicestwieniem.

Rozczarowanie przychodziło stopniowo. Przybywając do miasta, ujrzałem je po raz pierwszy z mostu wznoszącego się majestatycznie ponad wodami rzeki, a niewiarygodne szczyty i piramidy podnosiły się delikatnie, niczym główki kwiatów z oparów fioletowej mgły, aby igrać z rozpalonymi do czerwoności chmurami i pierwszymi wieczornymi gwiazdami. Później ponad toczącymi się leniwie falami zapłonęły światła w oknach, rozpałały się jedno po drugim, a poniżej, na wodzie kiwały się i migotały latarnie, syreny mgielne zawodziły swe smętne, charakterystyczne melodie i ogólnie widok ten przywiódł mi na myśl rozgwieżdżony firmament snów przesycony niebiańską muzyką, dorównujący swym majestatem tudom Carcassonne, Samarkandy, Eldorado i innych wspaniałych, na wpół mitycznych miast. Niedługo potem wyruszyłem owymi pradawnymi uliczkami tak drogimi mej wyobraźni - wąskimi, krętymi alejkami i przesmykami, gdzie rzędy murów z czerwonej, georgiańskiej cegły mrugały małymi okienkami z drobnych szybek ponad oflankowanymi kolumnami, drzwiami do domów, łypiącymi wyniośle na połączane karoce i panelowe powozy - wówczas po raz pierwszy stwierdziłem, że skoro udało mi się urzeczywistnić to z dawna odczuwane pragnienie, nic nie stoi na przeszkodzie, abym w swoim czasie stał się również poetą.

Sukces i szczęście nie były mi jednak dane. Jasny dzień ujawnił jedynie brud, obcość i drażliwą obskurność wszechobecnych, pnących się jak najwyżej kamieni wszędzie tam, gdzie księżyc zapowiadał istnienie piękna i starszej magii. Tłumy zaś, zaludniające ciasne, kręte uliczki, okazały się należeć do rasy śniadych, krępych cudzoziemców o zhardziałych obliczach i wąskich oczach, sprytnych, inteligentnych, obcych, pozbawionych snów i więzi z tym, co rozgrywało się wokół nich, którzy nie mieli nic do zaoferowania błękitnookiemu potomkowi starego ludu, w którego sercu płonęło umiłowanie czystych, zielonych plantów i białych dachów domów, jakie widuje się na terenie Nowej Anglii.

Tak więc zamiast weny, na którą liczyłem, doznałem jedynie uczucia niezmożonej samotności i przyprawiającej o zimny dreszcz ciemności otaczającej mnie z wszystkich stron. Poznałem również ostatnią, przeraźliwą prawdę, której nikt nigdy nie ważył się wcześniej wyjawiać, niewysłowioną tajemnicę tajemnic, która brzmiała, że owo miasto z kamieni i szkła nie stanowi przedłużenia żywota dawnego miasta, które znajdowało się kiedyś w tym miejscu, tak jak Londyn jest Starym Londynem, a Paryż Starym Paryżem, ale że jest ono martwe, a jego rozciągnięte beładnie cielsko zostało niedokładnie zabalsamowane i zaroilo się, niczym robactwem, osobliwymi, animowanymi istotami, które ma z nim tyleż wspólnego, co ów nieżywy twór z prawdziwym istnieniem. Dokonawszy tego odkrycia, nie mogłem sypiać spokojnie, w końcu jednak osiągnąłem stan pewnej (aczkolwiek zrezygnowanej) równowagi, w miarę jak wyrobiłem w sobie nawyk unikania ulic za dnia i przemierzania ich wyłącznie nocą, która wydobywa z zapomnienia tę odrobinę przeszłości, jaka jeszcze w nich pozostała, a stare

bielone odrzwia przypominają sobie skulone sylwetki, które dawno temu prześlizgiwały się przez nie cichaczem.

Z pewną ulgą napisałem kilka wierszy, ale wciąż nie chciałem powrócić do mego ludu, nie dopuszczając do siebie myśli o porażce.

I wtedy, pewnej bezsennej nocy, spotkałem tego mężczyznę. Stało się to na ukrytym podwórzu w dzielnicy Greenwich, gdzie zamieszkałem wskutek mej ignorancji, gdyż doszły mnie słuchy, że tu właśnie znajduje się największe naturalne skupisko poetów i artystów. Archaiczne alejki, domy i niespotykane nigdzie indziej podwórza oraz dziedzińce rzeczywiście wywarły na mnie nader pozytywne wrażenie, lecz poeci i artyści, których tam odnalazłem, okazali się jedynie krzykliwymi oszustami, amatorami, sztucznymi jak tania błyskotka, ich życie zaś pozbawione było (za ich przyzwoleniem) czystego piękna składającego się na poezję i sztukę, czyli tego wszystkiego, co w głębi serca ukochałem. Wyobrażałem sobie, że są tacy jak w czasach, gdy wioska Greenwich tętniła samoistnym życiem, nie wchłonięta jeszcze przez wielkomięjską metropolię, a w godzinach przedświt, kiedy wszyscy birbanci i lumpy układali się na spoczynek, kroczyłem samotnie pośród krętych, tajemnych alejek, rozmyślając o osobliwych sekretach pozostawionych przez pokolenia zamieszkujących tu ludzi. To utrzymywało mą duszę przy życiu i obdarzało snami oraz wizjami, które, aczkolwiek nieliczne, zaspokajały pragnienia tkwiące we mnie poety.

Mężczyzna natknął się na mnie około drugiej pewnej chmurnej, sierpniowej nocy, kiedy przemierzałem rzadko uczęszczanych, na wpół zapomnianych podwórze, do których obecnie można było dojść jedynie przez nieoświetlone przejścia dzielących je budynków, a które niegdyś tworzyły całą sieć uroczych, malowniczych alejek. Usłyszałem o nich niejako przypadkiem i nie otrzymałem ścisłych informacji, okazało się bowiem, że nie ma ich na żadnej współczesnej mapie, niemniej fakt, iż zostały zapomniane, tylko wzbudził moje zainteresowanie i ze zdwojoną gorliwością wyruszyłem na ich poszukiwanie. Teraz, gdy je odnalazłem, ożywiłem się raz jeszcze, gdyż coś w ich układzie niejasno sugerowało, że mogły stanowić ledwie początek całej sieci mrocznych, odrzuconych alejek i uliczek, ogrodzonych i ograniczonych wysokimi murami, ścianami domów czy nieoświetlonymi przejściami, do których nigdy nie zapuszczali się śniadzi cudzoziemcy i których strzegli skryci, małowinni artyści zajmujący się rzeczami nie przeznaczonymi dla szerokiej publiczności i nie oglądającymi nigdy światła dziennego.

Odezwał się do mnie bez żadnej zachęty z mojej strony, zwracając uwagę na mój nastrój i spojrzenia, jakimi obrzucałem pewne zaopatrzone w kołatki odrzwia ponad otoczonymi balustradą schodami. Błada poświata z umieszczonych nad wejściami okienek nieśmiało oświetlała mą twarz.

Jego oblicze tonęło w cieniu. Nosił na głowie szerokoskrzydły kapelusz, który nadspodziewanie dobrze pasował do jego staroświeckiego płaszcza. Zanim jednak odezwał się do mnie, poczułem dziwny, niczym niewytłumaczony niepokój. Był bardzo szczupły, wręcz chudy, istna skóra i kości, głos miał niewiarygodnie miękki i pusty, ale nieszczerólnie głęboki. Stwierdził, że widział mnie kilkakrotnie podczas mych nocnych wędrówek, i dodał, że przypominam mu jego samego z przeszłości, kiedy to wiedziony skrywanymi w głębi ducha pragnieniami odbywał podobne wycieczki. Czy nie zechciałbym przewodnika, kogoś, kto dłużej ode mnie prowadził podobne poszukiwania, a jego zasób informacji i wiedza o tutejszych zakamarkach były dużo większe niż nowo przybyłego wędrowca takiego jak ja?

Kiedy mówił, przez mgnienie oka dostrzegłem jego twarz w strudze żółtego światła z pojedynczego okna na poddaszu. Było to przystojne, niemłode już oblicze zdradzające szlachecki rodowód, które w tym czasie i miejscu wydawało się wręcz absurdalne. Było w nim jednak coś jeszcze, co zaniepokoiło mnie równie mocno, jak widok ostrych, silnych rysów natchnął mnie radością. Być może było zbyt blade, zbyt pozbawione wyrazu i zbyt różne od fizjonomii tutejszej społeczności i właśnie dlatego poczułem się dziwnie nieswojo. Tak czy inaczej, podążyłem za nim, w tych ponurych dniach poszukiwanie tego, co stare, piękne i tajemnicze, było bowiem wszystkim, co pozwalało utrzymać mą duszę przy życiu, i uznałem za rzadkie zrządzenie losu spotkanie z człowiekiem, który, dzielając w pełni me zainteresowania, uzyskał rezultaty dalece przewyższające moje skromne osiągnięcia.

Coś, być może sama noc, sprawiło, że otulony płaszczem mężczyzna pogrążył się w posępnym milczeniu i przez długą godzinę prowadził mnie, nie wypowiedziawszy choćby jednego niepotrzebnego słowa; rzucał jedynie zdawkowe komentarze dotyczące prastarych nazw, dat i zmian, a pełniąc rolę mego przewodnika, posługiwał się głównie gestami. W ten oto sposób przeciskaliśmy się przez wąskie łączniki, przemierzaliśmy ciasne, mroczne korytarze, pokonywaliśmy ceglane murki, a raz nawet przepełzaliśmy na czworakach przez niskie, łukowato sklepione kamienne przejście, którego niesamowita długość i przyprawiająca o zawroty głowy liczba zakrętów pozbawiła mnie do szczętu resztek orientacji, jakie do tej pory udało mi się zachować. Rzeczy, które widzieliśmy, były bardzo stare i przecudowne lub takie się wydawały, kiedy postrzeżłem je w słabym, bladożółtym świetle. Nigdy jednak nie zapomnę gigantycznych jońskich kolumn, żłobkowanych pilastrów i bogato zdobionych, żelaznych ogrodzeń, oświetlonych okien o małych szybkach i ozdobnych latarni, które stawały się coraz rzadsze i coraz dziwniejsze, im głębiej zapuszczaliśmy się w ten niewyczerpany labirynt nieznanej i zapomnianej przeszłości.

Nie spotkaliśmy nikogo i w miarę upływu czasu coraz mniej było oświetlonych okien. Z początku widzieliśmy tylko latarnie naftowe, później zaś pojawiły się latarnie ze świecami, aż w końcu, pokonawszy pewne przeraźliwe, nieoświetlone podwórza, gdzie mój przewodnik musiał szukać w ciemności, po omacku swą ostoniętą rękawicą dłonią, by odnaleźć wąską, drewnianą bramę w wysokim murze, dotarliśmy do fragmentu alejki, gdzie lampy paliły się przy co siódmym domu. Były to - rzecz niesłychana - kolonialne, blaszane latarnie ze stożkowymi nasadami i otworami w bocznych ściankach. Alejka ta wiodła stromo pod górę - bardziej stromo niż wydawało mi

się to możliwe w tej części Nowego Jorku - a jej górny koniec przegradzał porośnięty bluszczem mur prywatnej posesji, za którym mogłem dostrzec szczyt bladej kopuły i wierzchołki drzew kołyszące się na tle rozjaśniającego się nieba. W murze tym znajdowała się mała, nisko sklepi ona brama z nabitego ćwiekami, czarnego dębu, którą mężczyzna otworzył olbrzymim kluczem. Wprowadziwszy mnie do środka, ruszył pośród kompletnych ciemności wzdłuż, jak mi się zdawało, żwirowej ścieżki i w końcu po kilku kamiennych stopniach do drzwi frontowych domu, które otworzył kluczem i uchylił przede mną.

Weszliśmy i w tej samej chwili zrobiło mi się słabo, gdyż poczułem niesamowity fetor przesycający powietrze, którego fala wypłynęła nam na spotkanie. Była to odrażająca woń, której nagromadzenie wytłumaczyć można było jedynie trwającym od stuleci procesem rozkładu.

Gospodarz mój zdawał się tego nie zauważać, a ja z uwagi na swe dobre wychowanie zachowałem stosowne milczenie, gdy przeprowadził mnie po krętych schodach na piętro i korytarzem do pokoju, którego drzwi, jak usłyszałem, skrętnie zamknął za nami na klucz. Następnie ujrzałem, jak zaciąga zasłony trzech okien o małych szybkach, które na tle jaśniejszego nieba wydawały się prawie niewidoczne. To uczyniwszy, podszedł do obramowania kominka, by przy użyciu stali i krzesiwa zapalić dwie z liczącego dwanaście świec kandelabru, po czym stosownym gestem oraz miłym słowem zaprosił mnie, bym usiadł.

W słabym, migotliwym świetle ujrzałem, że znajdowaliśmy się w przestronnej, dobrze umeblowanej, wyłożonej boazerią bibliotece pochodzącej z początku osiemnastego wieku, z przepyszными pedymetami przy wejściu, wspaniałym doryckim karnesem i ozdobnym obramowaniem kominka. Ponad półkami wypełnionymi księgami, w przerwach na ścianach wisiały udatne portrety rodzinne, wszystkie jednak zmatowiały do stanu enigmatycznej szarobli i noszące ślad wyraźnego podobieństwa do mężczyzny, który wskazał mi właśnie krzesło stojące obok zgrabnego stołu chippendale. Zanim zasiadł po drugiej jego stronie, naprzeciw mnie, gospodarz mój znieruchomiał na chwilę, jakby zakłopotany, po czym skrętnie zdjął rękawiczki, szerokoskrzydły kapelusze oraz pelerynę, stając w teatralnej pozie, by ukazać strój, jaki miał na sobie, pełny kostium z połowy okresu georgiańskiego, począwszy od utrefionej, upudrowanej peruki i kryzy, po sięgające kolan bryczesy, jedwabne pończochy i buty ze sprzączkami, których wcześniej nie zauważyłem. Mężczyzna osunął się wolno na krzesło z oparciem w kształcie liry, wbijając we mnie przenikliwy wzrok.

Bez kapelusza wydał mi się dużo starszy, niż przypuszczałem, i zastanawiałem się, czy owa ledwie dostrzegalna wcześniej oznaka osobliwej długowieczności nie stanowiła zasadniczego źródła mego zaniepokojenia. Kiedy w końcu przemówił, jego miękki, pusty i starannie tłumiony głos często się łamał. Od czasu do czasu miałem więc trudności, aby za nim nadążyć, niemniej słuchałem go z nieskrywanym zdumieniem i niejasnym niepokojem, który narastał we mnie z minuty na minutę.

- Macie przed sobą, panie - zaczął mój gospodarz - człowieka wielce ekscentrycznych nawyków, za którego ubiór osoby o waszej inteligencji, skłonnościach i przekonaniach bynajmniej nie trzeba przeproszać. Rozmyślając o lepszych czasach, bez skrupułów przyjąłem tamtejszy styl ubierania oraz maniery; nawyk ów, jeśli nie nazbyt ostentacyjny, nie powinien wydać się nikomu obraźliwy. Miałem szczęście utrzymać większą posiadłość moich przodków, pomimo iż pochłonęły ją aż dwa miasta - najpierw Greenwich, które zbudowano tu po roku 1800, a następnie Nowy Jork, przyłączony około roku 1830. Wiele było w mojej rodzinie powodów do zachowania tej posesji i starałem się możliwie jak najlepiej wypełniać spoczywające na mnie powinności. Dziedzic, który przejął ten majątek w 1768 roku, studiował pewne sztuki i dokonał pewnych odkryć, które wiązały się nierozzerwalnie z mocą zawartą w tym szczególnym zakątku ziemi, wymagającym stałego i wzmożonego nadzoru. Zamierzam ukazać wam pewne osobliwe rezultaty owych sztuk i odkryć, naturalnie w ścisłej tajemnicy, ufam jednak - a znam się trochę na ludziach - że zawierając wam swe sekrety, z uwagi na wasze niezwykle zainteresowania, nie sprawicie mi, panie, zawodu.

Przerwał, a ja tylko skinąłem głową. Wspomniałem już, że byłem zaniepokojony, lecz dla mojej duszy nie było nic bardziej zabójczego niż Nowy Jork za dnia, a niezależnie od tego, czy człek ten był niegroźnym ekscentrykiem czy znową śmiertelnie niebezpiecznych sztuk, nie miałem innego wyboru, jak tylko dać się mu poprowadzić i pozwolić, by zadziwił mnie swymi sekretnymi rewelacjami. Tak więc zamieniłem się w słuch.

- Dla mego przodka - ciągnął łagodnym tonem - ludzka wola zdawała się posiadać pewne wyjątkowe właściwości, właściwości z rzadka podejrzwanej dominacji wywierającej wpływ nie tylko na poczynania własne i innych osób, lecz na wszelkiego rodzaju siły i rzeczy istniejące w naturze, jak również na rozliczne żywioły i wymiary wydające się jeszcze bardziej uniwersalne niżli sama natura. Czy mam jeszcze dodać, iż bluźnił on tak powszechnie uznanym świętościom, jak czas i przestrzeń, przeprowadzając osobliwe rytuały pewnych półkrwi Indian, którzy zamieszkiwali ongiś na tym wzgórzu? Indianie ci stali się istną plagą, kiedy zbudowano tę posiadłość, i naprzykrzali się niepomiernie, domagając się, by zezwolono im na odwiedzanie tych terenów podczas każdej pełni księżyca. Przez całe lata, kiedy tylko mogli, przekradali się w określone noce przez mur i w skrytości dokonywali okrutnych, mrocznych rytuałów. W 1868 roku nowy dziedzic przyłapał ich podczas jednego z obrzędów i to, co ujrzał, wprawiło go w osłupienie. Od tej pory handlował z nimi i zezwalał na odwiedzanie posiadłości, kiedy tylko tego zapragnęli, w zamian za ściśle informacje na temat tego, co robili. Dowiedział się, że obrzędy te były po części spuścizną ich czerwonoskórych przodków, po części zaś pochodziły od starego Holendra z czasów Stanów Generalnych. Niech go zaraza zeżre. W tydzień po tym, jak poznał tajemnicę Indian, dziedzic - czy to celowo czy przypadkiem - poczęstował ich wyjątkowo nieswieżym rumem, tak czy inaczej, pozostał jedynym człowiekiem znajdującym tajemnicę starego plemienia. Wy, panie, jesteście pierwszym człowiekiem z zewnątrz, który poznał prawdę o tym zdarzeniu i niech mnie piekło pochłonie, gdybym miał ryzykować jej ujawnienie, wiem wszelako, że żywo interesujecie się tego typu sprawami - przeszłością i z dawna zapomnianymi mocami.

Wzdrygnąłem się, słysząc słowa i niezwykle, pochodzące z przeszłości akcenty w jego głosie. A mój gospodarz jak gdyby nigdy nic mówił dalej.

- Musicie jednak wiedzieć, panie, że to, czego ów dziedzic dowiedział się od tych czerwonych dzikusów, stanowiło zaledwie drobną cząstkę zdobytej przezeń wiedzy. Nie na darmo uczęszczał do Oksfordu czy wiódł długie dysputy z prastarym chemikiem i astrologiem w Paryżu. Stało się dlań jasne - a teraz pragnął to jedynie udowodnić - że cały świat jest jeno dymem naszych intelektów, który przepływa obok dla wszystkich ignorantów i wulgarnych prostaków, a którymi ludzie roztropni mogą zaciągać się z lubością niczym dymem przedniego wirgińskiego tytoniu. Jesteśmy w stanie urzeczywistnić nasze pragnienia, a to, czego nie chcemy, możemy gładko odrzucić. Nie powiem, że to wszystko jest w stu procentach prawdą, niemniej jest nią z pewnością na tyle, aby od czasu do czasu doświadczyć udatnego widowiska. Wy, jak miemam, z zadowoleniem przyjmujecie krótki wgląd w czasy, których ujrzania nie pozwalała wam wasza wyobraźnia, przeto postarajcie się stłumić w sobie lęk przed drobnym pokazem, którego będziecie teraz świadkiem. Podejdźcie do okna i nie mówcie nic.

Gospodarz ujął mnie za rękę i podprowadził do jednego z dwóch okien w dłuższej ścianie odrażająco cuchnącego pokoju. Już pierwsze dotknięcie jego nie przyobleczonego w rękawiczkę palców zmroziło mnie do szpiku kości. Jego ciało, choć suche i twarde, było chłodne jak lód, mało brakowało, a gwałtownie wyrwałbym rękę z nieprzyjemnego uścisku. Znowu jednak pomyślałem o pustce i grozie rzeczywistości i zebrawszy w sobie śmiałość, wyruszyłem na spotkanie nieznanego. Znalazłszy się przy oknie, mężczyzna rozsunął żółte, jedwabne zasłony i nakazał, bym wyjrzał na zewnątrz. Przez chwilę nie widziałem nic oprócz miliarda drobnych, tańczących świetlnych punkcików, daleko, bardzo daleko przede mną. Wtem, jakby w odpowiedzi na sekretny ruch dłoni mego gospodarza, niebo przecięła błyskawica, a ja ujrzałem przed sobą morze bujnej roślinności, roślinności nieskalanej wszędzie tam, gdzie każdy normalny człowiek spodziewałby się zobaczyć morze dachów. Po mojej prawicy migotały zjadliwe fale Hudsonu, a w oddali, na wprost, dostrzegłem niezdrawo lśnienie rozległych, słonych trzęsawisk, nad którymi unosiły się chmury świetlików. Światło błyskawicy dogasło i złowieszczy uśmiech rozjaśnił woskowe oblicze starego nekromanty.

- To było przed moimi czasami - przed nastaniem nowego dziedzica. Spróbujmy raz jeszcze.

Czułem się słabo, byłem w znacznie gorszym stanie niż ten, który wywołała we mnie zniechęcona nowoczesność przekłętą miasta.

- Dobry Boże! - wyszeptalem - czy możecie to czynić, kiedy zechcecie? - A gdy skinął głową i obnażył czarne pieńki tego, co było kiedyś żółtymi kłami, schwyciłem się mocno zasłony, by nie upaść. On jednak podtrzymał mnie zimnymi jak lód szponami palców i ponownie wykonał złożony, sekretny gest.

Znowu błysnęło - lecz tym razem obraz nie był już tak obcy. Było to Greenwich, takie jak w przeszłości, tu i ówdzie widać było dachy domów, przecudowne zielone alejki, pola i skrawki trawiastych plantów. W oddali wciąż skrzyły się moczary, lecz poza nimi ujrzałem już wierzchołki nowojorskich budowli - Trinity, St Paul i Brick Church górowały nad innymi, a w powietrzu unosiła się mgiełka dymu palonych drewn. Oddychałem ciężko, nie tyle wstrząśnięty samym widokiem, ile raczej możliwością, iż na mą wyobraźnię rzucony został jakiś straszliwy urok.

- Czy możecie - odważycie się - pójść jeszcze dalej? - spytałem zdjęty grozą i przez chwilę wydawało mi się, że podzielał moje odczucia, lecz w końcu znowu uśmiechnął się zjadliwie.

- Dalej? To, com widział, zmieniłoby was w szalony słup soli! Wstecz i w przód, wstecz i w przód. Patrz, tępaku, patrz!

I zmełszy w ustach te słowa, wykonał jeszcze jeden gest - tym razem błysk był znacznie silniejszy niż poprzednie. Przez pełne trzy sekundy oczom moim ukazał się pandemoniczny widok, wizja, która od tej pory już zawsze prześladować mnie będzie w snach. Ujrzałem niebiosy, w których roilo się od osobliwych, latających istot, a w dole piekielne, czarne miasto z wielkimi, kamiennymi tarasami, bluźnierczymi piramidami mierzącymi wierzchołkami ku księżycowi i diabelskimi światłami gorejącymi w niezliczonych oknach. Na napowietrznych galeriach zaś dostrzegłem odrażające kłębowisko żółtoskórych, skośnookich mieszkańców tego miasta przyodzianych w przeraźliwe, pomarańczo-woczerwone szaty i płasających obłąkańczo w rytm wygrywany na groteskowych kotłach, obscenicznych krotalach i zawodzących upiornie rogach, których dźwięki wznosiły się i opadały niby fale bluźnierczego, bitumicznego oceanu.

Jak mówię, ujrzałem to wszystko i usłyszałem niejako w głębi duszy przeraźliwą, bluźnierczą kakofonię, która towarzyszyła tym obrazom. Ten wyjący koszmarnie niepojętej grozy, owo trupie miasto, którego widok przepełnił mą duszę dojmującą grozą, sprawiły, że zapomniałem o nakazie zachowania bezwzględnej ciszy i zacząłem krzyczeć. Krzyczałem, wyłem i ryczałem, wysiadły mi bowiem nerwy, a ściany wokół mnie dygotały niczym galareta.

Wtem, kiedy światło pioruna przygasło, ujrzałem, że mój gospodarz drży również - wyraz wywołanego szokiem przerażenia na wpół wymazał z jego oblicza grymas zjadliwego gniewu spowodowany moimi wrzaskami. Zachwiał się i schwycił kotary, tak jak ja poprzednio, i jak ścigane zwierzę jął obracać głową z boku na bok. Bóg jeden wie, że miał po temu powód, gdyż kiedy ucichło echo mego krzyku, rozległ się kolejny odgłos tak piekielnie sugestywny, że jedynie ogólne odrętwienie i przytępienie odbieranych wrażeń pozwoliło mi zachować świadomość oraz zdrowe zmysły. Było to regularne, dziwnie ukradkowe skrzyknięcie schodów za zamkniętymi drzwiami, jakby wspinała się po nich cała horda bosonogich lub noszących miękkie obuwie ludzi, aż w końcu rozległo się ostrożne

zrazu grzechotanie mosiężnej zasuwki, błyszczącej w wątłym świetle migoczących świec. Starzec zachwiał się na nogach i zamachnął na mnie, zakrzywiając lodowate palce w szpony. Z jego ust wraz z kropelkami śliny popłynęły warkliwe, jakby z oporem wyrzucane słowa.

- Pełnia księżycy... bądź przeklęty... ty... ty... skomlały psie... przywołałeś ich... idą po mnie! Stopy obute w mokasyny... umarli... niech was piekło pochłonie, czerwone diabły, nie zatrąłem waszego rumu... czyż nie strzegłem należycie sekretów magii, które mi powierzyliście?... przeklęte świnię, zaszkodził wam nadmiar alkoholu, odejdźcie, powiadam! Nie wińcie dziedzica za to, co się stało! Odejdźcie, nic tu po was! Zostawcie te drzwi...

W tej samej chwili trzy powolne i bardzo silne, nieprzypadkowe uderzenia zadygotały grubymi drzwiami, a w kącikach ust rozgorączkowanego czarownika pojawiła się piana. Jego przerażenie przerodziło się w depresję i znów poczuł przyływ wściekłości względem mnie. Chwiejnie postąpił w stronę stołu, którego brzegu kurczowo się przytrzymałem. Zasłony, które ścisnął w prawej ręce, zamachując się lewą, naprężyły się i ostatecznie runęły wraz z wyrwanym karniszem, a wewnątrz pokoju zalał blask księżycy w pełni, srebrzyste światło rozjaśniające ciemność nieba. Migoczące świece przygasły, a cuchnący stęchlizną pokój wydał mi się jeszcze bardziej zapomniany niż dotychczas, pomieszczenie toczyła zgnilizna, boazerię zżerały korniki, klepki podłogi były wypaczone, kominek poobtlukiwany, meble stare i zniszczone, zasłony postrzępione. Wrażenie to nie ominęło również starca, choć nie wiem, czy źródłem była księżycowa poświata, czy może aura jego lęku i gorączkowej pasji, faktem jest, że ujrzałem, jak czernieje i kurczy się, podchodząc do mnie na uginających się nogach, by ponownie spróbować mnie dosięgnąć zakrzywionymi niby szpony palcami. Tylko jego oczy pozostały nie zmienione, emanując dodający mu sił biały blask, podczas gdy reszta oblicza wokół nich marszczyła się, zapadała i przybierała barwę zwęglonego drewna.

Łomotanie narastało z minuty na minutę, aż w końcu do odgłosów głuchych uderzeń dołączył charakterystyczny zgrzyt metalu. Czarna istota naprzeciw mnie zmieniła się teraz w samą głowę z oczami, która bezskutecznie usiłowała przepełznąć w moją stronę po zapadającej się podłodze i raz po raz wyrzucała z siebie syk przepełniony niezmierną zjadliwością i nieśmiertelną nienawiścią. Teraz na mocno już naruszone odrzwia posypał się istny grad uderzeń, w szczelinach, jakie się na nich pojawiły, raz po raz dostrzegałem złowróżbny błysk ostrza tomahawka.

Nie ruszyłem się z miejsca, bo nie byłem w stanie, patrzyłem jedynie w niemym osłupieniu, jak drzwi rozsypują się na kawałki, by wpuścić do środka gigantyczną, bezkształtną masę atramentowej substancji upstrzoną niezliczonym mrowiem tyjących złowrogo oczu. Przelewała się szybko gęstą, oleistą strugą, jak strumień oleju przebijający przegniły bukspryt. Rozlewając się coraz dalej, przewróciła krzesło, aż w końcu przepłynąwszy pod stołem, dotarła na drugi koniec pokoju, gdzie wciąż typała na mnie poczerniała głowa z oczami. Zamknęła się wokół niej, zupełnie ją pochłaniając, a w chwilę później zaczęła się wycofywać, zabierając swe niewidoczne brzemię, nawet mnie nie dotknąwszy. Wypłynęła przez poczerniałe wejście i w dół niewidocznych schodów, które zaskrzypiały jak poprzednio, tyle że dokładnie na odwrót.

Właśnie wtedy runęła podłoga, a ja osunąłem się, nawet nie krzyknąwszy, w głąb sypialni poniżej, dławiąc się pajęczynami i o mało nie tracąc przytomności z przerażenia. Zielony księżyc, świecąc przez powybijane okna, ukazał mi na wpół otwarte frontowe drzwi, a gdy podniosłem się z usłanej gruzami podłogi i, odwracając się, oderwałem wzrok od zapadniętego sufitu, ujrzałem przepływającą opodał, odrażającą falę czerni z połyskującymi w niej dziesiątkami złowrogich oczu. To szukało drzwi do piwnicy, a gdy je odnalazło, znikło w jej mrocznym wnętrzu. Jednocześnie poczułem, że również podłoga tego pokoju, tak jak wcześniej biblioteki powyżej, zaczyna ustępować, a gdy z góry dobiegł przeraźliwy, głuchy łomot i coś wielkiego przeleciało obok zachodniego okna, zrozumiałem, że musiały to być szczątki kopuły. Pospieszyłem czym prędzej przez korytarz ku frontowym drzwiom, a gdy okazało się, że nie mogę ich otworzyć, schwyciłem za krzesło, wybiłem okno i jak oszalały wypełzłem przez nie na zarośnięty trawnik, gdzie światło księżycy tańczyło pośród wysokich na jard chwastów i źdźbeł traw. Mur był wysoki, a wszystkie bramy zamknięte, lecz przystawiwszy sobie w rogu stertę skrzyń, zdołałem wspiąć się na górę i przywrzeć do znajdującej się na szczycie ogromnej, kamiennej urny. W stanie skrajnego wyczerpania, w jakim się znalazłem, widziałem jedynie dziwne mury, okna i stare dwuspadowe dachy. Nigdzie nie mogłem dostrzec stromej uliczki, którą tu przyszedłem, a to, co widziałem, przesłoniła niebawem gęsta mgła, która nadpłynęła od rzeki pomimo świecącego jasno księżycy. Nagle urna, którą kurczowo ścisnąłem, zaczęła dygotać, jakby udzieliło się jej moje roztrzęsienie, i nie wytrzymała tak wielkiego napięcia, gdyż w chwilę potem runąłem bezradnie w dół, ku niewiadomemu przeznaczeniu.

Mężczyzna, który mnie znalazł, stwierdził, że musiałem przepełznąć nielichy szmat drogi pomimo pogruchotanych kości, gdyż ślady krwi ciągnęły się tak daleko, jak odważył się sięgnąć wzrokiem. Ulewny deszcz zmył niebawem szkarłatne pasma wiodące ku miejscu, gdzie przeżyłem śmiertelnie niebezpieczną przygodę, a w oficjalnym raporcie stwierdzono jedynie, że do-czołgałem się z bliżej nie określonego miejsca do wylotu niewielkiego, mrocznego podwórka w pobliżu Perry Street.

Nigdy nie próbowałem powrócić do tego posepnego labiryntu ani, gdybym nawet mógł, nie skierowałbym tam żadnego zdrowego na umyśle człowieka. Nie mam pojęcia, kim lub też czym był ów pradawny stwór, niemniej powtarzam, że to miasto jest martwe i pełno w nim niemożliwych do przewidzenia koszmarów. Nie wiem, dokąd on odszedł, ja natomiast powróciłem w rodzinne strony do nieskalanych alejek Nowej Anglii, które wieczorami omiata przesyciona różnymi zapachami nadmorska bryza.

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[**Początek**]